

## Mikołaj Mirowski: „Bezkrólewie”. Absurdalne pytania o Polskę

Przeszłość w rozumieniu Tomczyka, twórczo rozwijającego myśl Williama Faulknera, nigdy nie zdarza się tylko raz i nigdy nie jest ostatecznie skończona; ona trwa i trzeba się z nią mierzyć – pisze Mikołaj Mirowski w recenzji sztuki Wojciecha Tomczyka „Bezkrólewie”, która ukazała się w ostatnim „Plusie Minusie”.

Był rok 2006, kiedy dramaturg Wojciech Tomczyk po raz pierwszy tak spektakularnie zaznaczył swoją obecność na teatralnej mapie Polski i to na największej jej scenie w Teatrze Telewizji. Chodzi oczywiście o znakomitą „Norymbergę” ze znakomitymi rolami Janusza Gajosa i Dominiki Ostałowskiej. Doskonały dramat pokazujący brak rozliczenia z postkomunizmem, a także liczne dwuznaczności z tym związane ukazały, jak ważna dla jego twórczości była i jest polska historia.

Przeszłość w rozumieniu Tomczyka, twórczo rozwijającego myśl Williama Faulknera, nigdy nie zdarza się tylko raz i nigdy nie jest ostatecznie skończona; ona trwa i trzeba się z nią mierzyć. Opowiadał o niej na różne sposoby. Tak było, gdy w ramach sceny faktu powstała „Inka 1946”, a później „Marszałek” i „Imperium”. Niemniej dopiero „Bezkrólewie” napisane pod wpływem katastrofy smoleńskiej i opublikowane w 2011 r. w „Dialogu” okazało się jego kolejnym równie mocnym uderzeniem. Sceniczną szarżą, która będzie jeszcze długo dyskutowana.

*Doskonały dramat pokazujący  
brak rozliczenia z  
postkomunizmem, a także liczne  
dwuznaczności z tym związane  
ukazały, jak ważna dla jego  
twórczości była i jest polska  
historia*

Reżyserem jego  
inscenizacji jest  
przedstawiciel  
młodego pokolenia  
Jerzy Machowski.  
Duet ten okazał się  
strzałem w dziesiątkę.  
Pierwszą nowością  
względem  
poprzedniego dorobku

Tomczyka jest ogromna wieloznaczność i wielowymiarowość sztuki. Wcześniejsze jego utwory były raczej konkretne i odnosiły się bezpośrednio do opisywanych wydarzeń. Obecna adaptacja, co zresztą jest zasługą Machowskiego, który kilka scen względem pierwotnego tekstu nawiązującego do Smoleńska pozmieniał, podniosła przedstawienie na znacznie wyższy, uniwersalny poziom. Tomczyk czerpie tu garściami z dorobku najwybitniejszych polskich twórców – od Wyspiańskiego przez Gombrowicza i Mrożka, kończąc na Konwickim.

Co zatem oglądamy? Przez Polskę zawieszoną jakby poza czasem, wędrują trzy dziwaczne postaci: Glans (Redbad Klynstra), Gostek (Marcin Kwaśny) i Kolo (Krzysztof Szczepaniak). Ten cudaczny orszak opuścił stolicę kraju po nagłej i zaskakującej śmierci króla. Czy mają coś z tym wspólnego? Wyglądają na banitów chcących dotrzeć czym prędzej za granicę. Trafiają jednak do przydrożnej gospody gdzieś w zapomnianym przez „Boga i historię” krańcu Polski. Wita ich Justyna (Edyta Januszewska) i jej rodzice – Józef (Andrzej Mastalerz) i Zofia (Joanna Jeżewska) – „dobrzy ludzie”. Nieoczekiwane przybycie ekscentrycznych gości, a także wiadomości o bezkrólewiu mącą spokój gospodarzy. Tak oto spotykają się dwie Polski, równie groteskowe i przerysowane. Przybysze swą aparycją jak i poglądami

przypominają mrozkowskich bohaterów, z kolei przedstawiciele prowincji to jakby niektóre postaci ze „Ślubu” Gombrowicza. Jedni i drudzy są sobie potrzebni. Co się z tego wyłoni? Czy „my” i „oni” staną się jednością?

*Przybysze swą aparycją jak i  
poglądami przypominają  
mrozkowskich bohaterów, z kolei  
przedstawiciele prowincji to  
jakby niektóre postaci ze „Ślubu”  
Gombrowicza*

Tomczyk buduje  
kolejne piętra  
opowieści i nic tu nie  
jest jasne czy  
oczywiste. Dawni  
prominenci, których  
„światowość” jest  
karykaturalna, pisząc  
historię na nowo,

wchodzą w mętłą grę ze „świętą” polską rodziną. Tak świętą, że godzącą się, by sakrament małżeństwa zawarty między Justyną a Kolem, ten swoisty znak sojuszu „szlachty z ludem”, przypieczętowany został mocą... „W pustyni i w puszczy”. Widzimy świat zanurzony w Szulkinowskim kiczu na miarę jego pamiętnego „Ubu króla” z 2003 r. W takim to absurdalnym klimacie rodzą się ważne pytania o Polskę, o jej sens i trwanie. A w tle somnambulicznie powraca hasło zaklęcie: „jacy, tacy, jacy, tacy”, jakby na podobieństwo „Salta”, hipnotycznego tańca z obrazu Konwickiego.

Czekaliśmy na realizację „Bezkrólewia” dziewięć lat. Mówiło się, że ten utwór to półkownik III RP, bo tak jak filmy zablokowane przez cenzurę w PRL, on również trafił na półkę, nie mogąc doczekać się swojej premiery. Jaka była prawda, trudno dociec. Ale ten czas dla spektaklu okazał się zbawienny. Zobaczyliśmy rzecz wybitną, szczęśliwie niewykłaną w polskie wojenki „tu i teraz”.

*Mikołaj Mirowski*

Recenzja ukazała się w sobotnim dodatku do dziennika Rzeczpospolita „Plus Minus” nr 19/2020.